



Ludwik Sempoliński

Fot. Józef Kicman

Irena Eichlerówna



Bal młodej braci aktorskiej Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej zgromadził mnóstwo „asów” scen warszawskich i ekranu. Obok dyrektora PIST-u Aleksandra Zelwerowicza w otoczeniu uroczych „gwiazd” (od lewej) Irena Eichlerówna, Jadwiga Smosarska, Janina Romanówna i Jaga Boryta (z podpisu pod zdjęciem ze starej fotografii).



WARSZAWSKIE BALE W DAWNYM STYLU

Stolica
n 1/1 1978



Loda Halama

Fot. Dorys

Czy rzeczywiście bawiono się szampańsko, do białego rana, od pierwszej do ostatniej niedzieli karnawału w Warszawie szalonej, roztańczonej, niebacznej na nic, nie chcącej myśleć o jutrze, strojnej i podniecającej...

Koledzy żurnaliści o usposobieniach optymistycznych zamieszczali w prasie sprzed lat prawie stu entuzjastyczne sprawozdania, natomiast śledziennicy, jak na przykład Karol z „Kłosów” 1885 roku pisał: „Dla wesołych, lekkonogich i lekkomyślnych istot rozpoczęły się owe chwile szału i umęczenia, wśród których wedle przeciętnego zwyczaju kojarzą się najpoważniejsze związki życia. Nie wiem co przyniesie karnawał wszystkim młodzieńcom i dziewczynom wzdychającym do owego jarzma, ale prawdopodobnie będzie bardzo ożywiony”.

Narzekano więc i bawiono się dalej. Do pierwszej wojny światowej bezwzględnie obowiązywały wielkie klasyczne bale wraz z ich pięknymi, figurowymi tańcami: polonezem, kontredansem, mazurem. Nauki w tym zakresie młodzież pobierała w licznych szkołach tańca, przez cały adwent, by potem w karnawale zachwycić gracją i wdziękiem starsze damy, zdobyć serce i rękę ukochanej. Bo która z dziewcząt w tym czasie nie znalazła epuzera i zamiast wirować w tańcu siała pietruszkę – z małżeństwem mogła się pożegnać na cały najbliższy rok. A zważywszy że miała już na przykład... 18 lat mogłoby grozić jej, aż strach pomyśleć, staropanieństwo.

Na początku naszego stulecia umierały maskarady. Jedną z ostatnich odbyła się w Teatrze Wielkim tej nocy oddanym całkowicie we władanie smutnym pierrotom i przewrotnym kolombinom. Zza ciężkich kotar dyskretne dźwięki muzyki, panie w maseczkach, tańce na scenie, widowni. Łoże zamienione w gabinety. Dźwięk kryształowych kielszków, podniecające, szeptem prowadzone, rozmowy. Półmrok, w którym tak pięknie błyszczą ciemne oczy, oczy błękitne... Panuje Intryga. Prowadzona zgrabnie, błyskotliwie: o tym interesującym panu wystarczy wiedzieć tak niewiele, trzeba tylko szepnąć zręcznie parę słówek, uśmiechnąć się tajemniczo – słowem zaintrygować go.

O dwunastej błysk świateł, strzelają korki od szampana. Panie zdejmują maski. Autorki znakomite przeprowadzonych intryg otrzymują od swych ofiar prezenty. Kwiaty, bombonierki z czekoladkami. I zaczyna się wielki bal! Lecz bal bez wodzireja...

Jeśli o wodzireju mowa, to oczywiście najznakomitszym wśród wielkich jest pan Ludwik Sempoliński.

– Ale ja nigdy w życiu nie byłem wodzirejem – zarzeka się – tylko go stworzyłem, a właściwie odtworzyłem. Jako mały chyba dziesięcioletni chłopiec znalazłem się wraz z moimi rodzicami na balu w Związku Kupców m.stoł. Warszawy w lokalu mieszczącym się przy ul. Sięnej. Siedziałem w kącie, patrzyłem zafascynowany. Patrzyłem, to małg. Ja go przecież jadłem oczami. Wodzirej, jaki ważny. Para w lewo, para w prawo. I wszyscy robią, co on chce.

Te ruchy taneczne, te gesty. Tak ogromnie utkwił mi w pamięci, że później stał się wzorem dla mego Fikalskiego i Wodzireja.

Więc właśnie bal bez wodzireja. To jak program bez konferansjera. On był duszą zabawy, on stwarzał nastrój, sypał dowcipami, wzbudzał śmiech pierwszego piętra zwykle okupowanego przez mamy i ciotki. On wreszcie w karnetach dam wpisywał kolejność tańców rezerwowanych później przez tancerzy. Głos i kondycję musiał mieć sportowe. Nie było megafonów, żadnych urządzeń wzmacniających. To wodzirej dał się w mazurze w cztery pary ile sił w płucach: paanowie tańczą solo! A wtedy on pierwszy i znakomity zręcznym szusem rzucił się do tancerza z naprzeciwką, chwycił go za dłoń i frunąc, prawie okręcał się obydwaj w powietrzu i znowu wracali do swoich pań. Co popularniejsi mieli zastępców. Sam mistrz zorganizował tańce, strzelił kilkoma dowcipami, rozkręcił zabawę i już leciał na następny bal. Dalej zaś rzecz całą koñtynuował kolega.

Poza organizatorami nikt z publiczności na ogół nie znał ich nazwisk, byli artystami anonimowymi, zwykle pochodzili z warstw urzędniczych: w nocy tańczyli, w dzień drzemali w kantorkach szefów, a mając 30 lat już musieli żegnać się ze swoim tanecznym zawodem.

Wraz z żołnierzami amerykańskimi w czasie pierwszej wojny światowej na kontynent przyszli Murzyni i jazz zapanował w stolicach Europy. W Paryżu, w Wiedniu, w Berlinie i Warszawie tańczono shimmy, fokstrota, charlestona. Nie potrzebne były szkoły tańca, wystarczyło mieć mocne buty i takie samo poczucie rytmu oraz dobrą orkiestrę. Dansingi zaćmiewały wielkie bale, które dogorywając szukały jednak ratunku: atrakcję, atrakcję, za każdą cenę jednak pod warunkiem, że będzie ona rozsądna! Więc wybory królowej balu. Zostanie nią ta pani, która otrzyma największą liczbę głosów Głosy jednak kosztują. Jednego lub dwa złote. Kto swej damie kupi ich najwięcej – ta niechybnie zostanie królową. I koniecznie należy przyciągnąć akorki i aktorów na przykład znanych amantów filmowych. Już wtedy działa ogromna magia srebrnego ekranu.

Piękne panie ubrane w futra i toalety ze znanych warszawskich firm. Wielka reklama, w zamian za którą producenci finansują imprezy.

Jednak mimo wszystko około godziny dwunastej sale balowe pustoszeją, a rozbawione towarzystwo rozjeżdża się do Oazy, Bristolu, lub na Niecałą do Braci Front.

Bo tam na parkietach króluje jazz wykonywany przez największe firmy orkiestrowe: Katuszek i Karasiński, Gold i Petersburski. A w Adrii siostry Schwartz grają na dwu fortepianach, śpiewają w duecie i solo, w blasku lamp tańczy jedna z nich na błyszczącym, czarnym wieku instrumentu. Na obrotowym parkiecie mogło zmieścić się około stu osób... lub koń arabski, który modne rytmy wystukiwał dwiema no-

gami, rzał i stawał dęba nad siedzącymi przy stolikach gośćmi. To wywołuje dreszcz groźnej emocji. Wielka atrakcja, szyk, nowoczesność w dużym stylu.

Ale ciągle jeszcze organizowano bale. Oficjalne, czy urządane na cele dobroczynne oraz te, o których obecnie mówimy „środowiskowe”. Więc bal PIST-u – Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej... Zelwerowicz, Eichlerówna i inni wielcy.

...Słyszę w słuchawce telefonu niski urzekający głos z owym charakterystycznym przyspiewem: „Bale, bale – usiłuje sobie przypomnieć pani Irena Eichlerówna – no, tak chodziło się na nie, ale ze względu na więzy łączące i nas i profesora Zelwerowicza. Z obowiązku lecz i z serdeczności. Coś sobie przypominam: siedziałam w kiosku, sprzedawałam kotyliony, czy może coś innego. I za nic nie chciałam stamtąd wyjść. Peszył mnie ten bal, te osobistości”.

Jednak umawiamy się w garderobie Teatru Małego, gdzie gra w „Tej Gabrieli”. Czekam więc na nią. Trochę niesamowity jest pusty teatr z wygaszonymi światłami. Pryska wyobrażenie o garderobach aktorek. W obłokach pudru nie uganiają się garderobiane, nikt nie rozpyła w powietrzu perfum, nie pachnie szminkami, nie ma spazmów, humorów, koszy kwiatów, stosów walających się bombonierek. Przychodzi zwykła, spiesząca się pani – wielka aktorka. Przynosi mi zdjęcia z balu w PIST-cie i list: „O balach wiem, czy pamiętam niewiele – nudziły mnie. Byłam na jakimś przed samą wojną, może w pałacu w Łazienkach? Mniejsza z tym. Otwierał ten bal polonez (i bodaj wojewoda Raczyński?) a kończył mazur. Tańczyło go już niewielu, ale ci, którzy tańczyli robili to wspaniale. Jak zresztą i oberka, czy kujawiaka tańczono z fantastyczną klasą. A my, uczniowie Zelwerowicza musieliśmy tańczyć wszystkie narodowe tańce – popisowo. Była również jakaś gala w Teatrze Narodowym, nie jestem pewna co – zapamiętałam prezydenta Mościckiego i właśnie przy moim, czy naszym, stoliku coś kupił, ale co? Zawsze się siedziało przy jakimś stoliku blisko wejścia i coś się zbierało, czy sprzedawało. A ten bal szkoły teatralnej, z którego pozostała mi ta fotografijka, to był ukochany nasz. Ze względu na osobę Zelwerowicza zjawiali się na nim najwięksi aktorzy i co najznakomitsze osobistości, taki był snobizm. Kobiety wówczas nie piły. I nie pamiętam nikogo kto piłby na balu”.

Ale wróćmy do 14 stycznia 1938 roku. Odbywa się Bal Mody i Aktorów. Sprawozdawca „Kurier Warszawski” napisał w swojej gazecie: „Królową mody została uroczą pani Maria Malicka – królem

mody jej mąż – Zbyszko Sawan. Malicka miała na sobie prześliczną toaletę stylową w odcieniu morelowym, której towarzyszyły pięknie śnieżnobiałe gronostaje; Sawan czarował wytworną sylwetką we fraku o modnych niezwykle długich połach. Tytuł wicekrólowej przypadł słusznie filigranowej, drobnej jak laleczka Karolinie Lubieńskiej ubranej w obłok z czarnego, najcięższego tiulu. Wicekrólem został Mieczysław Cybulski. Najpiękniejszą i Panią Warszawy – Loda Halama (suknia bladioróżowa, peleryna z białych lisów), królowną wdzięku Hanka Karwowska w młodocianej sukience błękitnej jak niebo. Krynoliny królowały... Może to wpływ pięknego filmu „Maria Antonina”, a może zaklęta w jedwabiu tęsknota do dawnych, dobrych czasów, kiedy na balu bawiono się naprawdę całą duszą, dość że toalet stylowych było najwięcej. Prawdziwym cudem była krynolina urodziwej pani Elżbiety Kryńskiej (wicekrólowej piękności) z białych koronkowych falbanek. Dużo toalet o reaminiscencjach biedermeierskich z czarnej mory, białej, błękitnej, fiołkowej tafty. We włosach świeże storczyki, białe skrzydełka gołębie, lub złoty czy srebrny błyszcz rozjaśniający włosy bogactwem blasku”.

Siedzę właśnie z Najpiękniejszą Panią Warszawy – Lodą Halamą w kawiarni Europejskiej. Gwiazdą baletu, teatru, filmu i rewii lat trzydziestych. Sukcesy sceniczne i życiowe w Warszawie, Paryżu, Tokio, Londynie, Genewie. Trudno zliczyć. Temperament, talent, żywiołowość. I esprit. Uroda i świetna sylwetka zachowane do dziś. I dobra passa. Szczęściara, która prawie nie pamięta ile razy została uznana za najpiękniejszą, zjawiskową, jedyną. Co wyniosła z warszawskiego okresu swej wielkiej kariery?

...Praca, z tego można zawsze czerpać, ale to że żyłam w tym okresie niepowtarzalnym teatralnego gwiazdorstwa i że należałam do jednej z nich, to jest ciągle ważne. No i całe moje życie było takim szalonym tempem, przeleciałam przez nie tancnym krokiem, połykałam je wielką stołową łyżką, a na rozsądek nie miałam czasu.

...Bale, pamiętam na jednym z nich miałyśmy obie z Zizi pierwsze balowe suknie. Kupiła je mama u Hersego, morelowe krynoliny z tafty, z bolerkami haftowanymi brylancikami. Później były inne, wiele, całe stopy. Biżuteria, pantofelki i futra od Chowańczaka i Apfelbauma. Ale ja właściwie nigdy nie głupełam dla luksusu. Każdy bal był pokazem mody. Toalety trzymano w tajemnicy do ostatniej chwili, aż wreszcie: ogromne białe schody oświetlone oślepiającym światłem, schodzą z nich panie w tych swoich wytwornych strojach. Pstrykanie aparatów fotograficznych, podniecająca chwila oczekiwania, panowie we frakach: czy ta jest najpiękniejsza?

...Tańce? Najbardziej chciałam te tańczyć, w których można było przytulić się do partnera. Tango i walca. Cudownym tancerzem był mój mąż Andrzej Dembiński. Szczególnie pięknie tańczył angielskiego właca. Ale zawodowi tancerze nie są dobrzy w towarzyskich tańcach. To ta profesjonalna indywidualność nam przeszkadza. W tańcu trzeba poddawać się woli prowadzącego miękko i łagodnie. No i to nie wychodzi.

...Czy wypiałam kiedyś za dużo? Tak, ale niezupełnie w balowych okolicznościach. Gdy wyjechałam z Warszawy, znalazłam się w Lozannie. Nieszczęśliwa po śmierci męża, bardzo samotna z małym synkiem. Dawałam wtedy – organizowane przez Szwajcarski Czerwony Krzyż i Radio Genewa – koncerty, w ramach akcji „Donne Suisse” z których dochód był przeznaczony na leki dla powstańców warszawskich. Więc wielka nabita ludźmi sala koncertowa w Lozannie. W łóżach hiszpańska rodzina królewska i ja – taka jedna mała figurka na ogromnej scenie – tańczę. Symfonia patriotyczną na muzyce Chopina. Gra orkiestra „Suisse Romaine”. Straszliva trema, niemożliwe do opanowania wzruszenie. Później taniec hiszpański Bizeta, po koncercie bal, prezentacja królowej i znowu konkurs na najlepiej wykonany taniec. Wygrałam ja w duecie z następcą tronu don Jaime. Nagrodą był wielki kosz szampana. Oddech, koniec z tremą, jest tylko okropne zmęczenie i ja cała mokra z wysiłku oraz ten kosz tuż pod ręką. Więc pić, pić do ostatniej kropli...

Loda Halama – „Kobieta fatalna”

Fot. Dorys

